NOWA POLSKA

PISMO NIEZALEŻNE

Rok I — Nr. 7. Toruń, niedziela, dnia 22 października 1933 r. Cena 10 groszy.

Wybory do rad miejskich.

Pomorze stoi w przededniu wyborów samorządowych. Jak już w poniedziałek doniosła prasa, wybory do samorządów w większych miastach, liczących ponad 10.000 mieszkańców mają się odbyć w dniu 26 listopada br. czyli za 5 tygodni. Odbędą się one według nowego regulaminu, dopuszczającego w dość szerokim zakresie t. zw. geometrję wyborczą, natomiast na zasadzie obowiązującego dotąd pięcioprzymiotnikowego prawa wyborczego.

Czas przeto już dziś zastanowić się nad tem jakiemi wytycznemi kierować się winna ludność pomorska, wybierając swych przedstawicieli do rad miejskich.

Nie trzeba długo rozwodzić się, że nad dobrem miasta i jego obywateli, ten tylko czuwać będzie szczerze i skutecznie, kto z miastem swem związany jest silnemi węzłami. Poza innemi zaletami, kandydata na członka rady miejskiej cechować winno przywiązanie do swego miasta i przywiązanie do instytucji samorządu miejskiego.

Powiedzieliśmy: „dobro miasta i jego obywateli“. Czy są to dwa pojęcia różne? Czy dobro miasta może być kiedykolwiek sprzeczne z dobrem jego obywateli? Sprzeczność taka może zachodzić, choć będzie ona właściwie tylko pozorna: dobro miasta bowiem, to znaczy nietylko dzisiejszej generacji, ale i przyszłej i dalszych pokoleń; sami przecież korzystamy stale z tej pracy i dobytku dawnej nawet przeszłości, więc i w naszej pracy kierować musimy się innemi względami, niż wyłącznie potrzebą chwili bieżącej. To poczucie ciągłości w życiu miasta i odpowiedzialności inne będzie zgoła u ludzi, którzy w pełnem tego słowa znaczeniu zwać się mogą obywatelami miasta i tworzą niejako jego patrycjat, niż u tych, których związek z danem miastem jest jeszcze bardzo luźny.

Jak widzimy postulat ten nic nie ma wspólnego z t. zw. dzielnicowością w ujemnem tego słowa znaczeniu. Tak samo ma się i z drugiem żądaniem, aby radny miejski odznaczał się przywiązaniem do samej instytucji samorządu. Inna rzecz, że spotykamy się z tem niemal wyłącznie u ludzi, pochodzących z ziem zachodnich, bowiem samorząd nasz, choć odziedziczony po zaborcy, był dobrą szkołą pracy obywatelskiej i nauczył nas cenić wartość tej instytucji.

Natomiast Polacy autoramentu wschodniego, dla których samorząd miejski jest nowością, jakoś nie odczuwają jego znaczenia; to też często już mogliśmy zaobserwować, jak ludzie tacy, będący przeciwnikami wszelkich autonomicznych urządzeń a zwolennikami nakazu zgóry, wszedłszy do rady miejskiej, uważali się raczej za ekspozyturę władzy nadzorczej, raczej za organ wywiadu czy kontroli; niż za czynnik lojalnie współpracujący z samorządem.

A przecież czynnik nadzorczej, czyli rząd, posiadając dziś ustrój samorządowy taki, jakiego sobie życzył, potrafił chyba już w samej ustawie zabezpieczyć sobie kontrolę nad samorządem, w takim zakresie, w jakim uważał to za konieczne i pożyteczne, i na tem polu obejdzie się bez pomocy radnych. Dla zasadniczych wrogów samorządu nie powinno być miejsca w radach miejskich.

Jeden jeszcze wzgląd przemawia za wybieraniem do rad miejskich kandydatów ściśle z daną miejscowością związanych. Wiemy przecież, że pewne sfery odmawiają nam Pomorzanom zdolności do jakichkolwiek stanowisk kierowniczych; nie dostarczajmy im przeto sami nowych argumentów, aby nie mogli twierdzić że nawet w radach miejskich musimy być przez nich wyręczani. Pamiętajmy też o tem, że troska o pracę dla ludności w dzisiejszych czasach spoczywa również na samorządzie miejskim i to zarówno troska bezpośrednia, wyrażająca się w udzielaniu pracy bezrobotnym, jak i pośrednia, polegająca na szczególnie życzliwem traktowaniu przy wszelkich pracach, dostawach itp. przedsiębiorstw naprawdę miejscowych. Kto zatem istotnie dba o dobro ludności pomorskiej, komu nie jest ono obojętne, ten i pod tym względem dokona oceny kandydatów do rady miejskiej, zanim odda na nich swój głos.

Wymienione tu postulaty oczywiście kwestji jeszcze nie wyczerpują, poruszając tylko jedną stronę zagadnienia. Inne omówimy następnym razem wraz z niektóremi ważnemi szczegółami nowego regulaminu wyborczego.

Toruńczyk.

Szkolnictwo niemieckie w Polsce — a polskie w Niemczech!

Na terenie województwa pomorskiego znajduje się publicznych szkół powszechnych z niemieckim językiem wykładowym 22, liczących 1644 uczniów, publicznych szkół powszechnych z oddziałami niemieckiemi 15, liczących 1009 uczniów w tych oddziałach, prywatnych szkół powszechnych niemieckich 13, liczących 1029 uczniów. Ogółem 51 szkół i 3682 uczniów.

W województwie Poznańskiem istnieje 67 niemieckich publicznych szkół powszechnych, liczących 4638 uczniów, 120 niemieckich oddziałów, liczących 7191 uczniów i 99 niemieckich szkół prywatnych, liczących 4537 uczniów. Ogółem 286 szkół i 16.366 uczniów.

W województwie śląskiem istnieje 76 niemieckich szkół publicznych, liczących 16.636 uczniów i 19 szkół prywatnych z liczbą 2032 uczniów. Ogółem 95 szkół i 18.688 uczniów.

Razem przeto w województwach zachodnich Niemcy posiadają 431 szkół powszechnych z liczbą 38.736 uczniów.

A jak w porównaniu z tem przedstawia się nasze szkolnictwo polskie na ziemiach niewyzwolonych?

Na niemieckim G. Śląsku istnieje 24 publicznych szkół powszechnych z 254 uczniami oraz 10 prywatnych z liczbą 130 uczniów. Na Pograniczu 27 szkół prywatnych o 1309 uczniach, w Pomeranji 4 szkoły o 65 uczniach i w Prusach Wschodnich 23 szkół o 388 uczniach.

Ogółem zatem posiadają Polacy 88 szkół powszechnych z liczbą 2146 uczniów.

Liczba dzieci niemieckich w Polsce w wieku szkolnym wynosi 64.157 z czego naukę w szkołach niemieckich pobiera 38.735 czyli 60,4 procent.

Liczba dzieci polskich w Niemczech wynosi — według danych niemieckich — około 100.000, z czego w

szkołach polskich uczy się 2146 a zatem zaledwie 2,1 procent. Na polu szkolnictwa powszechnego położenie Niemców w Polsce jest więc 30-krotnie lepsze niż położenie Polaków w Niemczech.

W tych samych warunkach znajduje się polskie szkolnictwo średnie: Niemcy posiadają u nas 9 gimnazjów państwowych i 21 prywatnych z liczbą 4743 uczniów, natomiast Polacy mają w Niemczech tylko jedno gimnazjum prywatne (w Bytomiu), liczące 150 uczniów.

Z cyfr tych jasno wynika niesłychane wprost uprzywilejowanie mniejszości niemieckiej na polu szkolnictwa. Widzimy też jak konieczną jest pomoc społeczeństwa dla szkolnictwa polskiego w Niemczech, którego rozwój w ostatnich czasach został zupełnie zahamowany.

Kaszubi.

Skąd się wzięła nazwa Kaszubi, dokładnie stwierdzić nie zdołano. C. Mrongowiusz, pastor przy kościele św. Anny w Gdańsku i profesor języka polskiego w gimnazjum, pisze w swym polsko-niemieckim słowniku: „Nazwa Kaszuba pochodzi od kożuch", ponieważ, mieszkając nad zimnym Bałtykiem nosili długie kożuchy przeważnie z baraniej skóry.

Derdowski tłumaczy, że kolebką Kaszub były brzegi dolnej Odry, gdzie rozciągają się duże bagna i torfowiska i nad Łabą, w dzisiejszej Pomeranji. Rosnącą tam wiklinę nazywają „Kaszebe" z pewnością dlatego, że z wikliny wyrabia się kosze. Od tego jego mniemaniem, ma pochodzić wyraz Kaszuba.

Kaszubi nosili długie i szerokie surduty, które kładli w fałdy, czyli w huby: z tego Kasz-huby, późniejsza nazwa Kaszuby.

Długosz dodaje, że po ich długich surdutach i baranich kapuzach łatwo ich można było odróżnić od ich niemieckich sąsiadów.

W. Czajewski („Kaszubi") pisze: Wyraz „Kaszuba", składa się z koz i szuba, czyli Koszuba (kozia szuba) stąd Koszuba, później Kaszuba.

Wszystkie te pomysły, historycznego podkładu nie mają. Dokumenty łacińskie, polskie, niemieckie używają nazwy Cassubiae, Kaszuby, Cassuben. W każdym razie pochodzenie nazwy Kaszubi nie jest dotąd wyjaśnione w sposób zadawalający. Jak daleko ludność kaszubska potrafiła utrzymać swoją polskość, dziś dopiero poznać możemy. Fakt ten trzeba tem silniej podkreślić, że nie było na Kaszubach polskiej inteligencji, któraby się była ludem zajęła. — Szlachta sprzedawała majątki Niemcom i sprowadzała się do miast, na wioskach pozostał tylko gbur i chłop bez żadnej kulturalno-oświatowej opieki. Tylko jemu zawdzięczamy ocalenie Kaszub dla polskości.

Strój narodowy nie był bogaty, lecz „własny". Materjały wyrabiano w domu na krosnach. Dla mężczyzn był wełniany biały warp, który potem na niebiesko farbowano. Dla kobiet na podstaw brało się len lub bawełnę, a na wątek wełnę w różnych kolorach. Na bieliznę wyrabiano płótno.

Ze stroju ludowego zachowała się do dziś czapka z zielonego lub niebieskiego sukna, baraniem futrem podszyta, mucą lub kapuzą nazwaną. Fulszowy niebieski płaszcz z długą peleryną znajdzie się już bardzo rzadko, tak samo krótki węps. Chłopi nosili długie ciemnoniebieskie surduty i długie buty — kropówki. Latem wysoki czarny kapelusz. Na szyi wiązano czarną jedwabną chustkę z białemi lub zielonemi kwiatami. Kobiety nosiły spódnicę białą. bajową. Suknia była z półwełnianej materji, na brunatnem

Napój miłosny.

(z francuskiego)

W początku maja kapitan D. zaczął mnie poważnie niepokoić. Od tygodnia spotykałem go codzień wieczorem, z uderzeniem siódmej godziny, na rogu ulicy de la Paix i placu Opery, gdzie dzwonił śmiech i swawolne okrzyki. Okoliczność obciążająca: towarzystwo młodej różowej blondynki, którą prowadził pod rękę.

Zresztą, nie byłoby w tem nic szczególnego, gdyby kapitan D. dawno już nie był przekroczył wieku Romea. Dymisjowany przed 2-gim sierpnia 1914 r., wrócił do służby i dowodził tą samą kompanją piechoty, w której i ja się biłem. Złośliwy szrapnel urwał mu nogę. A kiedy nasz pułkownik, zbliżywszy się do noszy, na których transportowano biedaka, chciał mu dodać odwagi, ten; jeszcze z wichrem bojowym we włosach, krzyknął: — tak, mój pułkowniku, trzeba mi odwagi dziś, gdy nie mogę na czele mych ludzi iść z bagnetem na działa. —

Po wyzdrowieniu wrócił do swego małego domku w Głębokim Lesie, gdzie pielęgnował róże.

Wiedziałem, że mój dzielny dowódca był nieżonaty, a zatem młoda osoba nie była jego córką. Zachowywał się wobec niej zbyt uprzedzająco, aby miała być jego siostrzenicą. Z drugiej strony, za dobrze znałem szlachetność jego życia, abym mógł przypuszczać, że zechce „świeżem kwieciem ozdobić swe włosy siwe".

A zatem?...

* * *

Ostatniego piątku poszedłem, jak zwykle, na premjerę do kina w naszej dzielnicy. Patrzę, w loży znowu kapitan D. z młodą osóbką, Cukierki w antrakcie, lemonjada przy wyjściu. Śledziłem z daleka intrygującą parę. Przed jedną z wielkich kamienic kapitan zadzwonił, zdjął kapelusz, skłonił się z szacunkiem przed swą towarzyszką i rzekł:

— Jeszcze raz dziękuję. Do jutra!

I oddalił się, tłukąc o chodnik krokiem marsowym, Nie miałem czasu dać nura. Natknął się na mnie i zmierzył mnie wzrokiem.

— A ty co tu robisz, kochanku?

— Kapitanie. jestem na swoich śmieciach, mieszkam o dwa kroki stąd. Ale pan, stały mieszkaniec przedmieścia...

— Ciekawość jest brzydką wadą, mój przyjacielu. Chcesz wiedzieć, kogo odprowadzałem, co? Widziałeś nas, nie zaprzeczaj. A więc powiem ci, nie ze względu na mnie, ale na tę małą. Nie chciałbym, abyś pomyślał o niej coś złego...

— Hony soit...

— A więc jutro o szóstej, ulica Daunou. Pogadamy przy kieliszku wermutu.

* * *

— Wszystko zaczęło się z mojej winy, — bowiedział mi nazajutrz dzielny kapitan. A teraz pokutuję za moją ciekawość, tak jak ty pokutujesz w tej chwili za twoją. — Było to tak. Poszedłem aż za Obserwatorjum, do pewnego klasztoru, gdzie ogrodnik wymienia ze mną sztobry. Zarekomendował mi on knajpkę, gdzie podobno wino jest zawsze świeże, a cynaderki doskonale uduszone. Zanim obiad był gotów, zasiadłem przed kieliszkiem wódki. Słyszę obok mnie, schowana za zielonemi roślinami, jakaś kobietka płacze, płacze, jak wszystkie pokutujące Magdaleny razem.

— Biedactwo! — myślę sobie — znów jakiś zawód miłosny.

Rzeczywiście, zawód miłosny, ale nie taki, jak sądziłem. Obok niej

albo zielonem tle wytłaczane czerwone lub czarne kwiaty. „Kabot" wełniany miał rękawy szerokie. Na ramiona przychodziła duża ciemno-czerwona chustka z czarnemi kwiatami, lub „damastowa króga", damastowy kołnierz. Najcenniejsze było pokrycie na głowę. Owe czepki czyli złotogłowie, które jeszcze dziś przypadkowo można u starych ludzi w zmurszałych skrzyniach znaleźć. Mężatka musiała ubierać się w czepek, bogato złotem lub srebrem haftowany. Motywy były swojskie: tulipany, serce i koła. Czepki były bardzo cenne, kosztowały trzy do ośmiu talarów. Bogata gburka posiadała kilka czepków. Na czepku wiązało się jedwabną, „dębową" chustkę na dużą „szleifę". Pod brodą wisiały jedwabne kolorowe wstęgi.

Tradycja stroju kaszubskiego jest zerwana i nie ma nadziei przywrócenia jej do życia, chociaż lud poczyna znów na krosnach pracować i zaopatrywać się w samodziały

Kaszubi są naogół poważni i pracowici. Lecz gdy się bawią, to z całej duszy.

Od pierwszych lat przyzwyczaja się dziecko do samotności. Zabawek fabry znych w domach wiejskich nie było nigdy na Kaszubach. Ojciec sam wyrabiał łopatki, saneczki, wóziki, i t. p., proste lecz trwałe zabawki.

Po pracy ojciec, chętnie bierze malca na kolana i uczy go jeździć, przyśpiewując:

Tak pon jedzie po obiedzie,
A tak żed, a tak żed, a tak żed!

Potem na drugim kolanie:

Hej dam daly, do Koszaly
Tam do te wse
Tam są sle pse.

Chętnie zadają sobie zagadki, tworząc czasami własne. Podaję kilka:

— Maluści, okrągluści, biega furt, (groch).

— Sedzy panna w murze w czerwonym kapturze. (cegła).

— Czerwone se narodziło, zelone se nachodzyło, biołe było scante i do grobu wzante. (żyto).

— Pod zielonym dąbkiem kulało se kłąbkiem, mesz nie było, ogon miało. (żołądź).

(Wedł. S. Gulgowskiego)

DRZAZGI

Celestyn i Floridor.

Trzy długie artykuły p. t. „Dzielnicowość czy patryjotyzm" zamieścił na łamach „Słowa Pomorskiego" p. dr. Celestyn Rydlewski z Poznania. Nic nowego w nich coprawda nie powiedział a przytem potraktował temat wybitnie jednostronnie. Bo całą niemal winę rzekomo dzielnicowych nastrojów przypisał wyłącznie owej zawieji wojennej, co tyle plew austryjackich nawiała do całej Polski, a zapomniał zupełnie o wietrze z dalekiego Wschodu, który tu u nas przynajmniej na Pomorzu takie same wyrządził szkody.

Ale nawet jeśli pozostaniemy przy wywodach dr Rydlewskiego, to mimowoli nasuwa nam się szereg uwag i uzupełnień: Zalew galicyjski trwa przecież ciągle, choć nie pod postacią immigracji, ale w innej dziedzinie: zaraza skandalicznych „Detektywów", płytkich „Kurjerków" i t. p. rozchodzi się po całej Polsce. Kiedyś spodziewaliśmy się wszyscy, że potrafi temu przeciwdziałać Poznań, a zwłaszcza pewna instytucja przy ul. św. Marcina, w której p. dr. Rydlewski zapewne posiada niejakie wpływy. Przypuszczano, że tam powstanie twierdza zachodniej kultury polskiej, zachodniego sposobu myślenia i działania. Sądzono że będzie to nietylko twierdza obronna, ale podstawa operacyjna dla ofenzywy na wschód i południe Polski.

Kto tak myślał, zawiódł się srodze, gdy dowiedział się, że tam w Poznaniu dobrze się mają różni literaci i publicyści przyjeżdżający „na Saksy", gdy ich wielkopolscy koledzy daremnie wydeptują przedpokoje owej insty-

siedział żołnierzyk z 23-go pułku kolonjalnego, również wzruszony i głaskał ją po ręce, powtarzając bez przerwy:

— Moje maleństwo, moja dziecino, nie bierz tego do serca, ja wrócę...

W sali oprócz nas, nie było nikogo. Stanąłem przed ową parą, mówiąc do dziewczyny;

— Ale tak, panienko, on wróci. Skoro tak mówi, to musi wrócić.

Byli tem tak zaskoczeni, że nie przyszło im nawet do głowy wyrzucić mnie za drzwi. Moja wstążeczka Legji wzbudziła ufność w chłopaku, a moja pewność siebie w dziewczynie. Skończyło się na tem, że zasiadłem bez ceremonji przy ich stole i opowiedzieli mi swoje krótkie dzieje. On na trzy lata był wzięty do wojska kolonjalnego. Ona była podręczną w magazynie przy ulicy de la Paix. Poznali się jeszcze w szkółce elementarnej i odtąd nigdy się nie rozstawali. A teraz, jakby jasny piorun z nieba. Zarządano posiłków dla Maroka, — na niego padł los. Jutro miał odjechać. Stąd rozpacz Munetki.

Zwierzenia przynoszą ulgę w niedoli.

— Ja wiem, że są ładniejsze odemnie. Ale nie boję się, żeby o mnie zapomniał, o nie! Odkąd wypiliśmy razem napój miłosny...

Zapytałem się w duchu sam siebie, a potem zapytałem ją, co to miało znaczyć: ów napój miłosny. Wytłomaczyła mi, nie dając się długo prosić, nieco zażenowana,

— O, niema nic w tem złego. Koleżanka z pracowni dała mi adres kabalarki, która zna rozmaite sekrety. A najciekawszy jest eliksir, który umyślnie przygotowuje na specjalne żądanie; to właśnie ten napój miłosny. Ci, którzy go razem wypili, nie mogą nigdy o sobie zapomnieć. Mogą być daleko lub blisko: serce jego musi być zawsze przy jej sercu. Nie masz się czego czerwienić, Totor, ty także go wypiłeś.

Totor wzruszył ramionami!

— Zapewnie, żeby ci zrobić przyjemność.

— Co było w napoju?

— Otóż właśnie chcę opowiedzieć. Przyszliśmy do kabalarki. Była przygotowana na naszą wizytę. Miałam ze sobą w torebce wstążkę czerwoną. Związała nam nią ręce. Do szklanki nalała trochę wody z proszkiem.

— A jaki to był proszek?

— Powiedziała nam, że składa się on z mirtu, szarej ambry, płatków róży, werbeny, a potem jeszcze... potem z tego kamienia, co to robią pierścionki, ...aha! lapis-lazuli...

— ...I zapewne „hippoman",

— ...Zaraz widać, że pan jest uczony, — zawołała Munetka, składając ręce. Tak, tak, „hippoman", kosteczka z czoła źrebięcia. Wszystko to rozmięszała w szklance. Potem wielką igłą ukłuła każdego z nas w ramię. Pociekło trochę krwi. Długo, długo obracała igłę w szklance i mówiła przytem dużo słów, których nie można było zrozumieć. I dała nam wypić łyk napoju. To było wcale niezłe w smaku. A potem, to już byłam zupełnie spokojna...

— A więc czego się pani jeszcze obawia?

— Żeby mi go „oni" nie zabili, żeby mi go nie zabili...

I zaczęliśmy na nowo: ona płakać na dobre, on głaskać jej rękę, a ja dowodzić im. że jak dwa razy dwa jest cztery, tak Maurowie to nie to, co Niemcy i t. p. Jednem słowem, te wszystkie głupstwa, które się mówi w takich razach.

Postanowiliśmy spotkać się nazajutrz rano, aby go pożegnać po raz ostatni. Bo już kochałem tych dwoje smarkaczów, jak moje własne dzieci.

Munetka czekała na mnie na bulwarze Port-Royal. Ładna szelmutka, pomimo stroskanych oczu pod tanim kapelusikiem. Nbpróżno starała się za pomocą loczków, naciągniętych aż na czubek noska, ukryć zaczerwienione powieki. Masiała płakać całą noc. Ale robiła minką, aby nie odbierać odwagi swemu chłopakowi.

Zostawiłem ją na chwilę samą, aby wejść na podwórze koszar. Pluton był już pod bronią, z plecakami na ramieniu. Porozumiałem się z porucznikiem, który nim dowodził i wziąłem na bok mego chłopaka.

tucji, w której i p. dr. Celestyn ma słówko do powiedzenia.

I dlatego jego słówka w „Słowie Pomorskiem“ nie brzmiały zbyt szczerze i przypomniały nam pewien refren z poczciwej „Nitouche“. Jest tam taki Celestyn, który uczy śpiewu cnotliwe dziewczęta bogobojnego pensjonatu, a pod mianem Floridora na innym terenie, w teatrzyku, wystawia swe frywolne operetki.

Jednak zabawa źle się kończy, a morał z operetki taki, że nie trzeba „być“ w Toruniu Floridorem, a w Poznaniu Celestynem“.

Quivis.

„Sługa uniżony!“

„Padam do nóg“ „całuję rączki“ „sługa uniżony“ — takie to miłe pozdrowienia słyszymy co krok na ulicy i w lokalach publicznych. Jeszcze dziesięć lat temu na takiego „uniżonego“ południowca patrzono jak na raroga, lub człowieka, któremu brak piątej klepki, ale zczasem przyzwyczaili się ludziska do tego płaszczenia się.

Nie każdy to potrafi; trzeba równocześnie twarz swą rozpromienić uśmiechem, wyrażającym jakąś błogą radość z powodu spotkania najsympatyczniejszej pod słońcem istoty. Trzeba zdjąć kapelusz ruchem uniżonym, zdjąć kapelusz niemal do ziemi, pochylić głowę, zgiąć kark i ramiona:

„Sługa uniżony!“

Przytem wolno ci pomyśleć: „Oby cię szlak trafił, niedołęgo!“ — „Czekaj, będziesz ty mi się nisko kłaniał, tylko uda mi się podstawić ci nogę!“ i tp. i tp.

Nieco mniej potulnie brzmi na pozór inne pozdrowienie austryjackie, równie skwapliwie przez „ciepłokrajowców“ przeflancowywane na inne ziemie polskie, — „servus!“

A przecież i ono nie oznacza niczego innego, jak tylko „sługa“! Za to przypomina nam inne pojęcie, któremu słowo to dało nazwę, pojęcie tak nieodzowne dla scharakteryzowania tych „ugrzecznionych“ niewiele polaków — serwilizm czyli s'użalczość. Ona to właśnie jest żródłem tych wszystkich „padam do nóżek“ „całuję rączki“ i „uniżony sługa“

Serwilizm i obłuda — dwie wstrętne cechy ludzi marnych, słabych charakterów.

Pilnujmyż, aby chwasty te nie rozpleniły się na pomorskim gruncie.

Quivis.

Przegląd polityczny.

Procesy chłopskie w Małopolsce.

Toczące się od kilkunastu dni głośne procesy o rozruchy chłopskie zostały zakończone, a częściowo wyroki zapadną prawdopodobnie w przyszłym tygodniu.

Nie sądzimy, aby toczące się jeszcze rozprawy ujawniły jakieś nowe rewelacyjne szczegóły: te bowiem zeznania, jakie złożono dotychczas dostatecznie oświetliły tło, przyczyny i skutki owych zajść.

Wyroki, jakie dotąd zapadły nie są zbyt surowe, jeśli zważymy, że toczyły się formalne bitwy policji z chłopami, że byli zabici i ranni po jednej i drugiej stronie. Najwyższą karą były dwa lata więzienia (w jednym tylko wypadku), zresztą przeważają kary kilkomiesięczne z wliczeniem aresztu śledczego.

Wstrząsające natomiast i deprymujące wrażenia na każdym, śledzącym przebieg tych procesów, wywrzeć musiało tło procesu, uwydatniające się zarówno w zeznaniach oskarżonych jak i świadków dowodowych i odwodowych. Nędza wsi małopolskiej ujawniła się w tych zeznaniach małorolnych i bezrolnych chłopów w całej potworności; nie jest ona niczem nowem; była tam od niepamiętnych lat a obecny kryzys spotęgował ją tylko do granic wprost niemożliwych do zniesienia.

— Słyszał pan o tym napoju miłosnym — powiedział, — udawałem, że wierzę w to wszystko, byle jej nie drażnić... Ale strach o dziewczynę, zwłaszcza gdy taka ładna... Ona się boi, żeby mnie ci Czarni nie wyprawili do Abrahama na piwo, a ja czego innego obawiam się dla niej: żeby mi jej Paryż nie zabił... Pan mnie rozumie... Panie kapitanie, niech pan trochę daje na nią baczenia...

— Obiecałem. Uściskaliśmy się po męsku. On wrócił do szeregu, ja do Munetki. A kiedy pluton już dziarsko pomaszerował przed nami, położyłem rękę na ramieniu małej i przysiągłem sobie, że napój miłosny podziała...

— Już za pięć siódma. Muszę iść po nią. Widzisz, mój chłopcze, zdarzają się czasem historje czarodziejskie, które mogą dobrze się skończyć. Ale pod jednym warunkiem: aby w nich nie było prawdziwych czarowników.

Zemsta skarabeusza.

(Przekład z angielskiego).

W całem hrabstwie nie było człowieka więcej zadowolonego ze swego losu, jak sir Tomasz Eyrson, konserwator starożytności egipskich w British Gallery. Zmieniło się to jednak z chwilą, gdy przydzielono mu za pomocnika tego wstrętnego garbusa, M. Lewisa.

Właściwie nominacja ta była zupełnie zbyteczna. Sir Everson dawał sobie sam doskonale radę, mając do pomocy personel administracyjny i cały sztab wyszkolonych dozorców, którymi komenderował Joe Larrymore, olbrzymi chłop, były sierżant królewskich strzelców sudańskich.

A ów Lewis, który na archeologji zupełnie się nie znał, a dostał się do muzeum dzięki sprytnym intrygom — miał wielką ochotę zająć miejsce sir Eversona, razem z jego ładną pensją, mieszkaniem, światłem i opałem. Gdzież jemu równać się z sir Eversonem?

Ten ostatni miał za sobą piękną przeszłość: przez szereg miesięcy przeprowadzał w swoim czasie badania archeologiczne w Dolinie Królów w Egipcie. A kiedy wrócił stamtąd, przywiózł z sobą do Anglji dwa nieocenione nabytki: jednym z nich był ów olbrzym Joe, przywiązany całą duszą do swego nowego pana, a drugim osobliwy skarabeusz z granitu, pochodzący z epoki IV dynastji.

Ten ci to skarabeusz ugruntował sławę sir Eversona. Uczony archeolog z pomocą potrójnych lup, zdołał odcyfrować tajemniczy napis kabalistyczny, ukryty między błyszczącemi skrzydłami skarabeusza. I według oświadczenia archeologa, ktokolwiek posiadał ów święty amulet, mógł w chwili niebezpieczeństwa liczyć zawsze na skuteczną pomoc i ratunek ze strony skarabeusza.

Odkrycie to komentowano długo i szeroko w Londynie. Sir Everson uzyskał nawet za swe prace archeologiczne tytuł baroneta.

Oczywiście dowiedział się o całej tej historji również i M. Lewis, z chwilą gdy wreszcie udało mu się wkręcić do muzeum. I w parę dni później wybuchł prawdziwy skandal!

Słynny skarabeusz okazał się zwykłym, ordynarnym falsyfikatem. Dowiódł tego M. Lewis w sposób bardzo prosty, a sprytny, wprowadzając cienki stalowy świderek w brzuch granitowego skarabeusza. Amulet sporządzony był nie z granitu, lecz z mieszaniny cementu z piaskiem, odpowiednio spreparowanej przez jakiegoś sprytnego fałszerza.

Zrobił się huczek, gazety wyśmiewały biednego Eversona, który też wkrótce zmuszony był ustąpić ze swego stanowiska. M. Lewis triumfował.

Ale nie długo! Już na drugi dzień nie zjawił się rano w muzeum, a kiedy zaniepokojony Joe poszedł na gó-

Przeludniona wieś galicyjska, nie znajdująca upustu do zażydzonych miast, jedyną klapę bezpieczeństwa miała w emigracji sezonowej i zamorskiej. Dziś — wszystkie te drogi są zamknięte i nędza wzrasta do rozmiarów niebywałych.

Trudno przy tej okazji nie wspomnieć o jednem: ta wieś małopolska to była przecież domena wpływów potężnego kiedyś stronnictwa piastowców, które często bywało u steru rządów a wpływy swe starało się rozszerzać na całą Polskę. Chciało pouczać chłopów w Poznańskiem i na Pomorzu, do czego powinni dążyć i jak pilnować mają swych interesów, jakich domagać się praw. Jednego tylko nie potrafili: u siebie w domu przeciwdziałać szerzącej się nędzy. Za to i w procesie okazało się „rozpolitykowanie" tych żywiołów, naiwne coprawda, gdy jako warunek uspokojenia tłumów wysuwano wobec komisarza policji żądanie... rozwiązania sejmu, ale zato ufne w swe siły, dopóki policja nie otrzymała posiłków.

A postępowanie policji? Referowaliśmy już o dwóch wyrokach sądów małopolskich, które bardzo ujemne światło rzucały na stosunki we władzach bezpieczeństwa na terenie Małopolski. Że i procesy chłopskie odsłoniły nowe słabe strony, zdaje się nie ulegać wątpliwości; nie znamy coprawda jeszcze uzasadnienia wyroków, ale już sam wymiar kary zdaje się na to wskazywać.

Niemcy zrywają współpracę międzynarodową.

Zdarzeniem politycznem, które w ciągu całego tygodnia zapełniało szpalty wszelkich dzienników — było wystąpienie Niemców z Ligi Narodów i z konferencji rozbrojeniowej oraz rozwiązanie parlamentu Rzeszy.

Zerwanie konferencji rozbrojeniowej było — jak się zdaje — zgóry przygotowane, nastąpiło bowiem w ub. sobotę w chwili, gdy uzyskana z trudem zgoda Anglji i Ameryki na dość stanowczą wobec Niemiec formułę rozbrojeniową już się była rozchwiała. Wobec braku jedności Niemcom nic nie groziło, tem większą zatem niespodzianką było ich wystąpienie. Dąsy Hitlera na Ligę Narodów są zrozumiałe; zwracaliśmy już na tem miejscu uwagę na zupełne odosobnienie Niemiec na tym terenie, wywołane głównie przez żydostwo międzynarodowe. Natomiast bluff'em, którego nikt chyba poza hitlerowcami nie bierze poważnie, to rozwiązanie parlamentu i rozpisanie nowych wyborów, aby „naród mógł się wypowiedzieć". Co znaczy obecnie w Niemczech „naród", o tem wie już dobrze świat cały tak samo jak wszyscy wiedzą zgóry, że „naród" powie to, co Hitler każe.

Tym krokom niemieckim na terenie międzynarodowym towarzyszyła bardzo „pokojowa" mowa Hitlera, wygłoszona przez radjo. Zwykła to sprawka znana już całemu światu. Odpowiedział na nią premjer francuski Daladier, który stwierdził, że dobrze jest słuchać mów, ale lepiej... patrzeć na czyny.

Prasa niemiecka z niekłamanem zadowoleniem rozpisuje się o bezradności, jaką krok niemiecki wywołał zagranicą. I poniekąd ma rację; świat cały widzi, że Niemcy chcą się zbroić, że już się wie dokładnie do czego to wszystko razem zmierza, zdaje sobie sprawę, że czas pracuje na korzyść Niemiec — a pomimo to wszystko nie jest zdolny do reakcji.

Pokojowe zapewnienia Niemców są zrozumiałe: chodzi o wygranie na czasie. Bo stosunki wewnętrzne w hitlerji wcale nie przedstawiają się różowo; eksport tego państwa wybitnie przemysłowego kurczy się raptownie, dodatnie saldo bilansu handlowego staje się coraz mniejsze. Napozór skuteczna walka z bezrobociem, choć doprowadziła do zatrudnienia 2 miljonów pracowników, nie zwiększyła pojemności rynku wewnętrznego, i ma znaczenie raczej społeczne niż gospodarcze. Przytem wiele oznak wskazuje na to, że jedynem wyjściem z finansowych kłopotów Rzeszy będzie ucieczka do inflacji, do maszyny drukarskiej Rzeszy.

I stąd ta pokojowość rządu hitlerowskiego, pragnącego rzekomo zgody ze swymi sąsiadami, dopóki. . przebudowa wewnętrzna państwa nie będzie ukończona i arsenały nie będą napełnione.

rę, do jego służbowego mieszkania, ujrzał na łóżku... trupa! Tak jest — M. Lewis nie żył, — udusił się! Sprowadzony natychmiast lekarz stwierdził fakt uduszenia się: głęboko w krtani tkwił ów słynny skarabeusz z granitu, którego lekarz nie mógł w żaden sposób wydobyć tak, że musiał wreszcie rozcinać krtań nieszczęśliwego.

Sprawa nabrała skandalicznego rozgłosu. Na ławie oskarżonych zasiadł oczywiście sir Everson, który jeden jedyny mógł żywić nienawiść do zmarłego.

Na salę rozpraw, zatłoczoną publicznością, wszedł sędzia w swej czerwonej todze, w peruce, trzymając w ręku tradycyjny bukiet kwiatów, których zapach miał nieco orzeźwiać duszną atmosferę sali.

Oskarżyciel koronny przemówił krótko. W krtani M. Lewisa znaleziono skarabeusza z granitu, którego autentyczności nikt zaprzeczyć nie może. Ze jednak owad taki, choćby nawet zrobiony z magicznego granitu, nie ma zwyczaju latać i wpadać do ust człowieka, — zatem musi się przyjąć za pewnik, że został on tam wprowadzony przemocą obcą ręką. A któż inny mógł to uczynić, jak nie oskarżony, sir Everson?

Dla nadania większego efektu swym słowom, oskarżyciel rzucił z całej siły na ziemię owego granitowego skarabeusza, który potoczył się aż pod nogi świadka Joego Larrymore i znikł nagle, jakby go ziemia pochłonęła.

Nikt jednak nie zwrócił na to specjalnej uwagi, w tej chwili bowiem zaszło na sali coś nieoczekiwanego. Oto z bukietu, leżącego na stole przed sędzią rozległo się silne brzęczenie... jakby jakiego trzmiela czy bąka... Było to tem dziwniejsze, że roz prawa toczyła się w połowie grudnia, a więc w porze, gdy owadów tych nigdzie niema. Trybunał, oskarżyciel, publiczność i świadkowie wszyscy poczęli rozglądać się ze zdumieniem po sali, szukając wyjaśnienia tego fenomenu. I nagle rozległ się brzęk tłuczonej szyby... jakby ktoś uderzył w nią kamykiem od wewnątrz.

Rozległy się krzyki, kilka starszych pań uważało za stosowne zemdleć. Jakaś dziewczyna z White-Chapel darła się przeraźliwie:

— To był skarabeusz! Widziałam na własne oczy, jak wylatywał przez okno!

Momentalnie wszyscy wypadli na ulicę. Jednym z pierwszych był Joe Larrymore, który pognał jak strzała prosto do muzeum. A po paru minutach wrócił stamtąd zziajany, niosąc w ręku z triumfem... granitowego skarabeusza. Złożył go na stole sędziowskim, oświadczając, że znalazł go na zwykłem miejscu, w gablotce nr. 7 od szeregu dni pustej...

Dzięki tym niezwykłym wypadkom sir Everson został jednogłośnie uniewinniony. Sprawca zabójstwa pozostał nieznanym.

I dopiero później, znacznie później, świadkowie tej niesamowitej historji, gdzieś przy partyjce brydża, zadawali sobie czasem pytanie, kto był właściwie zabójcą: czy ów zaczarowany skarabeusz, czy Joe Larrymore, wierny i przywiązany sługa swego dawnego pana?

Djagnoza.

Lekarz notuje: „Bóle głowy, kamienie żółciowe, dolegliwości nerkowe... Ile pani właściwie ma lat?

„Dwadzieścia dwa, panie doktorze"

„ ... i zanik pamięci," notuje lekarz dalej.

Przytomny.

— Nic mnie to nie obchodzi, że mój narzeczony raz po raz flirtuje z innemi. Wiem, że on poprostu warjuje za mną!

— No tak, ale może czasami miewa chwile przytomności?

W pośrednictwie małżeństw.

— Wszyscy mężczyźni, których pan mi poleca są już zupełnie siwi! Czy u was teraz „Biały tydzień"?

Przed i po...

Narzeczony przed ślubem: — Moja najmilsza, mów jeszcze. Nie ma dla mnie cudniejszej muzyki nad twój głos srebrzysty.

Mąż po ślubie. — Przestań już raz skrzeczeć, bo mi głowa pęka od twego gderania.

Rozwiązanie „Rozwoju"

Jednem z ważnych wydarzeń ostatnich dni było rozwiązanie towarzystwa „Rozwój" i to zarówno centrali warszawskiej, jak i oddziałów prowincjonalnych.

Jak wiadomo organizacja ta miała na celu walkę o spolszczenie handlu i przemysłu polskiego a u nas na kresach zachodnich, obronę przeciw inwazji handlu żydowskiego. Po ostatnim procesie krakowskim, zakończonym wyrokiem, który w związku z zajściami antyżydowskiemi skazał szereg wybitnych działaczów na bardzo wysokie kary więzienia i to już w drugiej instancji, można było obawiać się takiego zarządzenia władz. Idzie ono zresztą w parze z szczególną przychylnością, okazywaną uchodźcom żydowskim z hitlerowskich Niemiec.

Słowem wszystko zdaje się wskazywać na to, że akcja zmierzająca do spolszczenia handlu, względnie do wytworzenia go tam, gdzie dotąd prawie jeszcze nie istnieje, natrafiać będzie na coraz większe przeszkody.

Nie powinno nas to jednak od pracy odstraszać, boć bez wyzwolenia narodu z pęt żydowskiej niewoli gospodarczej, nie możemy marzyć nawet o lepszej przyszłości.

Nie należy też przeceniać straty jaką w dziedzinie tej poniosło społeczeństwo przez rozwiązanie „Rozwoju" Przedewszystkiem dlatego, że aktywność warszawskiej centrali tej organizacji już oddawna była bardzo nikła, tak samo zresztą było na terenie byłej Kongresówki i Małopolski, a datuje się to od tego czasu, kiedy „Rozwój" skompromitował się aferą z utworzeniem pewnego banku dla popierania polskiego handlu i rzemiosła.

Nieco lepiej przedstawiała się sprawa na ziemiach zachodnich, ale i tu wyniki były niewielkie; napór żydów wzrastał z dnia na dzień. Rozdawanie odezw nawołujących do bojkotu sklepów żydowskich doprowadzało do zatargów z policją, przesłuchów i aresztowań, ale widocznej szkody kupcom żydowskim nie przyczyniło.

Akcję tą prowadzoną przeważnie przez młodzież, cechował jakiś słomiany zapał: kilka dni rozdawania odezw, zatargów z kupcami żydowskimi, przesłuchów. protokółów — a potem długie dni i tygodnie zupełnego zastoju, zupełnej martwoty. Tak pojęta i prowadzona propaganda hasła „swój do swego" oczywiście wielkich plonów przynieść nie mogła i też nie przyniosła.

Ale cóż począć teraz? Czy wobec rozwiązania „Rozwoju" zupełnie założyć ręce i spokojnie przyglądać się, jak żydostwo zalewa nasze miasta i miasteczka pomorskie i wielkopolskie?

Byłoby to zbrodnią nie do darowania; trzeba właśnie teraz dokł. przypomnieć sobie, jak to dawniej prowadzono daleko skuteczniejszą walkę o spolszczenie handlu i rzemiosła polskiego, i tych samych używać sposobów.

Władze zaborcze stały przecież wówczas po stronie lojalnego elementu żydowskiego i broniły go jak tylko mogły, a jednak żydom nic to nie pomogło.

Nie pozwalano nietylko na żadne wybryki czy demonstracje antyżydowskie, które zresztą nigdy nie odnoszą trwałego skutku, ale nawet na publiczne głoszenie żadnego hasła, które byłoby skierowane przeciw żydom. Kwalifikowano to zaraz jako podburzanie jednej warstwy ludności przeciw drugiej,

A przecież bojkot był i to bojkot skuteczny, choć nie mieliśmy żadnego „Rozwoju" ani podobnej organizacji. Propagowaniem hasła „swój do swego" zajmowała się prasa i k a ż d a organizacja narodowa, każda organizacja p o l s k a. Jest to hasło pozytywne, nie judzące przeciw nikomu, nie głoszące żadnej nienawiści rasowej, więc nikt go nie może zakazać.

Nie głosi ono też żadnej walki, przeciwnie nawołuje także żydów aby kupowali tylko u „swego". Można z niem nawet łączyć — jeśli kto chce — choćby sympatję dla żydostwa: niech żyją niech się dorabiają, byle nie n a s z y m k o s z t e m.

Każda organizacja polska powinna uważać za swój obowiązek uświadamiać swych członków w tym właśnie kierunku, powinna wywierać na nich moralną presję, aby na każdym kroku popierali handel i rzemiosło polskie, a wówczas pomimo rozwiązania „Rozwoju" potrafimy skutecznie przeciwstawić się naporowi żydostwa.

Gawędy u Grubej Maryny.

Wywiad z gazeciarzem.

Siedziałem u Grubej Maryny samotnie przy stoliku a po głowie chodziły mi myśli wcale niewesołe. Obok popijał czystą jakiś młodzieniec i przyglądał mi się uporczywie. Wreszcie podszedł do mnie.

Pozwoli pan redaktor, że przysiądę? Przecież znamy się już kopę lat!

— Hm, właściwie i owszem, tylko jakoś nie mogę sobie przypomnieć...

— Co Edka pan redaktor nie zna?! Przecież też jestem od gazety. Trzynaście lat już pracuję w tej branży na toruńskim bruku!

— A, prawda! Oczywiście poznaję. Nie przypuszczałem tylko, że kawaler w tak młodym wieku już do kieliszka zagląda.

— Złamane życie, panie redaktorrze; gazeciarstwo mi je złamało. Pamięta pan, jak to trzynaście lat temu byłem najmniejszym i najgłośniejszym sprzedawaczem gazet. Dobrze człowiek zarabiał, choć dzieckiem jeszcze się było. Myślałem: każdy miljarder amerykański zaczynał od sprzedawania gazet, to i ja dorobię się choćby kamienicy. A tu lata idą, a w kieszeni płótno. Więc przychodzę tu i robaka zalewam.

— No bo też przez tyle tat można chyba było dorobić się własnej gazeciarni!

— Właśnie! A pan redaktor to się własnej gazety dorobił? No, niby tak: jest „Nowa Polska". Właśnie też chciałem zapytać, czyby mnie pan nie wziął na dyrektora swej gazety?

— Na dyrektora? Ho, bo, takich stanowisk jeszcze u nas niema. Ale dobry kolporter brzydałby się.

Niech będzie: kolporter. Zgoda, ale pod jednym warunkiem, że gazeta będzie taka, żeby ludzie kupowali: morderstwa, krew, szubienica, kat — bez tego gazeta nie idzie. I dużo tłustego druku. Ja się na tem znam; trzynaście lat przecież w tym fachu pracuję i do Krakowa jeździłem, do samego Marjanka, panie redaktorze, żeby mu rad dobrych udzielić.

— A to z jakiej racji?

— Aha, na wywiad chce mnie pan redaktor naciągnąć? Dobrze niech będzie wywiad. A zamieści go pan w „Nowej Polsce"?

— Czemu nie, zamieszczę.

— No to dobrze, sprzedam cały nakład „Nowej Polski".

— Więc jak to było z tą podróżą do Krakowa?

— Ano, bardzo prosto: jak się skończyła Gorgonowa, ze sprzedażą uliczną była klapa: przedtem sprzedawałem kilkaset gazet. potem już tylko kilkanaście. Pisali, że będzie jeszcze rozprawa w wyższej instancji, że 100 adwokatów będzie bronić. Przyszedł termin i znów klapa: załatwili wszystko w jednym dniu, adwokatów było dwóch, wyrok zatwierdzili i po wszystkiemu. Gazety znów nikt nie chciał kupić. Wtedy pomyślałem sobie: człowiek na psy zejdzie, jeśli te redaktory tak będą dalej pisać. No i ich samych też marny los czeka. Trzeba jechać do Krakowa, do samego Marjanka i z nim pogadać.

— A skądże ta znajomość z samym „Marjankiem"?

— Jakto, przecież od tylu lat na niego pracuję! Pałac prasy z mojej krwawicy sobie pobudował, filję w Toruniu założył i nawet kierownikiem mnie nie mianował. Ale jak mu się przedstawiłem i powiedziałem z czem przybywam, zaraz mnie przyjął i wysłuchał. „Ma pan słuszność — powiada — ratowała nas

Gorgonowa.

Teraz, kiedy proces się skończył i o dalszem wałkowaniu tej sprawy mowy być nie może, prasa

skazana jest na śmierć.

— „Nie możemy do tego dopuścić, panie dyrektorze — powiadam.—Przecież pan ma wpływy. Czy nie może się pan postarać o

wznowienie procesu?"

„Próbowałem już, ale nic się nie da zrobić — odpowiedział Marjanek i nos spuścił na kwintę.

— „Ale, panie dyrektorze, przecież nie sama tylko Gorgonowa jest na świecie! Mało to mamy w Polsce ludzi uzdolnionych? A od czego „Tajny Detektyw"? Niech pan redaktor każe opisać kilka morderstw z wszelkiemi szczegółami, to na tylu czytelników, znajdzie się choć jeden, co popróbuje szczęścia!"

— „Ba, pewnie, żeby się znalazł. Cóż kiedy mamy przecież

sądy doraźne.

One to podkopują nasz byt!

„Sądy doraźne? Dlaczego to panie dyrektorze?"

— „Oj, kawalerze, widać zaraz, że choć gazety od tylu lat sprzedajesz, na dziennikarza nie nadajesz się jeszcze. Przecież to takie proste: złapią mordercę, zaraz go oddają pod sąd i jeszcze sprawozdanie nie ukazało się w druku, już

budują szubienicę.

Kata sprowadzą i, zanim człowiek zarobi trochę grosza na zbrodni, już zakładają skazańcowi

stryczek na szyję.

Biedna ofiara dyńda ale i my wkrótce będziemy dyndać, jeśli tak dalej pójdzie!"

„Ale zresztą — mówił mi pan dyrektor na pożegnanie — nie trzeba się martwić. Zapytywałem Szyllera-Szkolnika i odpowiedział, że to tylko taka przejściowa

zła konjunktura.

Z konfiguracji gwiazd wynika, że będzie znów

kilka sensacyjnych morderstw,

które pomimo sądów doraźnych poważnie przyczynią się do wzmożenia czytelnictwa w Polsce. Więc głowę do góry młodzieńcze!"

„Pożegnałem się i poszedłem na dworzec; z radości wypiłem jeszcze

trzy bomby

piwa i wyjechałem do Torunia. I niech pan sobie wyobrazi, jaki z tego Marjanka genjalny człowiek. Ledwo zdążyłem wrócić do Torunia, a tu czytam, że w Krakowie znów

krew się polała!"

— A więc i wywiad nasz skończony?

— Tak, panie redaktorze. Tylko teraz przejrzymy go i zaznaczymy, co wydrukować tłustym drukiem. O tak: Gorgonowa... skazana na śmierć... wznowienie procesu?... sądy doraźne... szubienica... stryczek na szyję kilka sensacyjnych morderstw... bomby... krew się leje... Dobrze, panie redaktorze, to już podobne do p r a w d z i w e j gazety! Jak zacznę wykrzykiwać te tytuły, sprzedam cały nakład choćby po 20 proszy! Wtedy puścimy w trąbę Grubą Marynę, przeniesiemy się do „Kantorowicza" i pan redaktor zrobi mnie dyrektorem „Nowej Polski". Zgoda? Quivis.

Z Pomorza.

TORUŃ. Niema racji Wasz ‚Quvis', kiedy reklamuje zdolności Pomorzan do zawodu „woźnego". Nawet i na te stanowiska sprowadza się kandydatów z dalekich stron, jak o tem świadczy następujący fakt z gruntu toruńskiego:

W pewnej — powiedzmy — instytucji, zatrudniającej 4 woźnych, jedna z tych posad zawakowała. Ostatecznie przyjęto pewnego kandydata.. z Warszawy, który wprawdzie przeszłość ma dość wątpliwą, ale zato wykazał się poleceniem osobistości, która kiedyś w Toruniu zajmowała wysokie stanowisko...

Nawet na woźnych się nie nadajemy!

Pomorzanin.

STAROGARD. W stan spoczynku przeniesiony został Pomorzanin p. Józef Mokwa, urzędnik tut. Sądu Grodzkiego, który na stanowisku tem pracował od początku istnienia sądownictwa polskiego na Pomorzu.

P. Mokwa liczy 41 lat i ma czworo dzieci. Był urzędnikiem gorliwym, więc zdawałoby się że długo jeszcze mógłby pracować dla dobra służby. Innego zdania są jednak władze, bo przeniosły go w stan spoczynku właśnie na podstawie art. 34. lit. B t.j. „dla dobra służby".

TCZEW Robotnik kolejowy Jan Kolberg, Pomorzanin, który przez 14 lat pracował na stacji towarowej w Zajączkowie stracił pracę; ponieważ miał na utrzymaniu żonę i pięcioro dzieci, tak się przejął tym ciosem, że brzytwą poderżnął sobie gardło. W beznadziejnym stanie przewieziono go do lecznicy.

Solidarnością narodową i twórczym wysiłkiem odżydzimy nową Polskę.

Dla wygody Czytelników naszych zamieszczamy poniżej kwity abonamentowe. Tych wszystkich, którym chodzenie na pocztę sprawia trudności, prosimy jeden kwit, odpowiednio wypełniony, odesłać na najbliższy urząd pocztowy, a listowy zgłosi się po przedpłatę przy najbliższej sposobności. Drugi kwit prosimy wręczyć sąsiadowi z zachęceniem do zaabonowania NOWEJ POLSKI.

Do Urzędu Pocztowego w ______________

Zamówienie. Niniejszem zamawiam wychodzącą w Toruniu 1 raz w tygodniu „Nową Polskę" na **listopad 1933 r. za 0,47 zł.** włącznie z opłatą poczt. Proszę dostarczać pod poniższym adresem:

Należytość za prenumeratę proszę ściągnąć przez listowego.

Imię i nazwisko ______________

Miejsc.: ______________ ul. i nr. ______________

Kwit pocztowy na zł ______, tytułem przedpłaty „Nowej Polski" **za listopad 1933 r.** odebrałem, co niniejszem potwierdzam.

______________, dnia ______ 1933 r.

podpis: ______________

Do Urzędu Pocztowego w ______________

Zamówienie. Niniejszem zamawiam wychodzącą w Toruniu 1 raz w tygodniu „Nową Polskę" na **listopad i grudzień 1933 r. za 0,93 zł.** włącznie z opłatą poczt. Proszę dostarczać pod poniższym adresem:

Należytość za prenumeratę proszę ściągnąć przez listowego.

Imię i nazwisko ______________

Miejsc.: ______________ ul. i nr. ______________

Kwit pocztowy na zł ______, tytułem przedpłaty „Nowej Polski" **za listopad i grudzien 1933 r.** odebrałem, co niniejszem potwierdzam.

______________, dnia ______ 1933 r.

podpis: ______________

HOTEL RESTAURACJA

TRZY KORONY

TORUŃ

poleca pierwszorzędne pokoje
począwszy od 3,— zł. na dobę.

WIECZOREM DANCING i KABARET.

Kuchnia warszawska. **Ceny kryzysowe.**

Polecam **zegary, zegarki, platery** oraz
ślubne obrączki po cenach najniższych

Zakład zegarmistrzowski **Kazimierz Bibik**

ulica Szewska 10 i Szeroka róg Rynek Staromiejski

Udzielam kredytu na asygnaty Spółdzielni „Kredyt kupiecki"

Pierwszorzędny magazyn obuwia

W. Krzymińska

Toruń ul. Król. Jadwigi 10

poleca wszelkie obuwia po cenach najniższych. Warsztat reparacyjny na miejscu,

---

STEMPLE

kauczukowe i metalowe oraz wszelkie grawury szybko, tanio i gustow. wykonuje

Fabryka Szyldów Metalow. i Stempli
Henryk Rausch, Toruń
Mostowa 16 - Tel. 1409

Powróciałm z Paryża, przywiozłam duży zasób nowości

Szkoła tańców

Janiny Werny

Toruń Prosta 22

Lampki na groby i świece:

poleca najtaniej

Drogerja A. Gałdyński, Toruń

Szeroka 9 Szeroka 9

Samochód

ciężarowy „Ford" $1/2$ tonowy, na biegu w dobrym stanie sprzedam za 2.800 zł. Oferty do Adm. „Nowej Polski" pod „Ford"

Wszelkie nowoczesne zabiegi fryzjerskie wykonuje zakład fryzjerski dla Pań i Panów

Paweł Knieć

Toruń Wielkie Garbary 16
obok kawiarni „Italja"
Spec.: trwała i wodna ondulacja.

Nadeszły najnowsze

modele

w kapeluszach i polecamy Szanownym Paniom po najtańszych cenach. Lubomska, Kr, Jadwigi 12/14.

Zobacz Kiermasz

Toruń, Szczytna 2.
róg Szerokiej

- - - - Tysiące artykułów za bezcen - - -

ZEGARY i ZEGARKI

naprawiam fachowo, tanio z gwarancją

L. Sztyrbicki, — zegarmistrz

Toruń Wysoka 11/13

Polecam tanie nowe

kapelusze

przyjmuję zamówienia także żałobne, przerabiam modnie od 1 zł. — Prywatnie najtaniej! **Stróżewska,** Łazienna 11 (gmach za kościołem. Wyciąć! — Zachować!

MEBLE

używane sprzedam tanio St. Rynek 37m.1

Baczność Straż! Zbiórka w dniu 22 bm. o godz. 9-ej rano w „Wenecji".
Zarząd.

LAMPKI
na groby i świece

poleca HURTOWNIE I DETALICZNIE
Hurtowna Drogerja
T. Rzymkowski
Toruń, Szeroka 43

SKLEP KOMISOWY

Bolesława Bartkiewicza
w Toruniu, Wielkie Garbary 14
ma stale na składzie wielki wybór rzeczy używanych po cenach okazyjnych

---

Poszukujemy rutynowanych **akwizytorów** na ogłoszenia i gazety na dogodnych warunkach. Zgłoszenia do administracji „Nowej Polski".

CENTRALNY DOM TAPET

Sp. z o. o.

POZNAŃ ul. Gwarna 19 — TORUŃ ul. Szeroka 33

Tapety-Linoleum-Ceraty

Wieńce KWIATY Krzyże

Dzień Zaduszny się zbliża!
Pamiętajcie o Waszych drogich zmarłych!
Najkorzystniejsze źródło zakupu
Kwiaciarnia Nowomiejska
Rynek Nowomiejski

Serca KWIATY Bukiety

Pracownia Garderoby
wojskowej, damskiej i męskiej

BERNARD PRUS

Mickiewicza 84 Toruń Telefon 820

Wielki wybór w materjałach bielskich i przyborach krawieckich stale na składzie.
Dogodne warunki!
Obsługa fachowa i rzetelna.

Pierwszorz. zakład fryzjerski
dla pań i panów
Stefan Łoboda, Toruń Chełmińska 15.
W pobliżu Gmachu Dyrekcji Kolejowej

Lampki na groby

w wielkim wyborze
poleca
DROGERJA „SANITAS"
Stary Rynek naprzeciw pomn. Kopernika

WARUNKI PRENUMERATY:
„Nowa Polska" wychodzi w każdą niedzielę i kosztuje 40 gr. na miesiąc, z odnoszeniem do domu 50 gr
Adres Redakcji i Administracji Toruń Pl. św. Jana 8.

CENY OGŁOSZEŃ:
Cała strona . 80.— zł — $1/4$ strony . . . . 25.— zł
$1/2$ strony . . 45.— zł. — $1/8$ „ . . . . 15.— zł
Ogłoszenia drobne: słowo tytułowe 10 gr. każde dalsze 5 gr.

Wydawca: Marcin Wojdyło, Toruń, Piekary 23. Redaktor odpow. Leon Kum, Toruń, Łazienna 28. Odbito w Drukarni Starczewskiego, Toruń.